

doktora Magnusa. Wyobraź sobie, że ten pocziwy staruszek zakochał się we mnie i chce się mną opiekować. Pieniądże, które mi ofiarowałeś, przydały się bardzo. Zamieniłam dawny strój robotnicy na eleganckie kostiumy i wspaniałe kapelusze. Proszę cię, odwiedź mnie jak najprędzej, pragnę bowiem bardzo, abyś mnie zobaczył w nowej roli, w której, zdaje mi się, jest mi dosyć do twarzy.

Całuję cię serdecznie i nie chowam do ciebie żadnej urazy. Twoja Janka le Brenn^a.

Po przeczytaniu tego listu ogarnął Henryka smutek głęboki i niesmak, w którym jednak mieściła się jeszcze litość i żal.

— Oto, co Paryż potrafił z niej uczynić w przeciągu jednego roku — szepnął zgnębiony.

Delrue podniósł list, upuszczony przez przyjaciela i rzekł niedbale:

— Zachowaj ten dowód, dostarczę ci wkrótce jeszcze silniejszego, bo, niestety, mam ich dosyć do wyboru.

— Widujesz ją więc?

— Tak, uległem słabości, czy też może ciekawości. Ale teraz, zapewniam cię, wszystko już skończone między nami. Tak jest, wszystko skończone — dodał, udając, że nie widzi cierpienia malującego się na twarzy Henryka — Utraciłem w tej smutnej awanturze większą część mojego szczęścia, nie mówię o finansowej stronie. Za kosztowne to dla mnie, dobre może dla tego doktora Magnusa, znanego bogacza, który wygrał od twojego ojca niedawno milion franków, właśnie może dla niej...

Henryk de Kermor wyprostował się nagle.

— Dosyć, Delrue — rzekł twardo. — Proszę cię, nie mów więcej o niej.

— Jest to najgorętszym moim życzeniem. Ja dotąd milczałem, ale skoro rozkazałeś mi mówić...

— Dziękuję ci więc za tę rozmowę i nie powracajmy do niej więcej. Powiedziałeś sam, że wszystko już skończone. Uleczyłeś się z niegodnej miłości, a ja z przywiązania, które miało wypełnić życie całe. Podajmy sobie ręce, Andrzej, przyrzeknij mi, że pozostaniesz w pałacu.

— Tylko dlatego, że jest to twoim życzeniem, Henryku.

— Jesteś nam potrzebny teraz bardzo, aby załatwić i przyspieszyć moje małżeństwo, które nas wszystkich wybawi. Widzę, że miałeś słusność, Andrzej, i żałuję tylko, że nie usłuchałem cię wcześniej.

— Jestem ci wdzięczny za to dobre słowo, Henryku, każe mi ono zapomnieć o tamtych.

Uściśnuli sobie ręce w milczeniu i Delrue wyszedł zadowolony z siebie. We drzwiach spotkał się z wchodzącą markizą, przed którą skłonił się głęboko.

— Nad czym radziliście tak? — zapytała po wyjściu Andrzeja — Widzę, że ta rozmowa usposobiła cię poważnie.

— Nie mówmy o tem, mam, proszę cię.

— Henryku, masz tajemnicę przed matką, a ja tak pragnę widzieć cię szczęśliwym.

— Będę nim, bo od dziś powodować się będę tylko jedynie rozsądkiem. Delrue umiał wpłynąć na mnie stosownie i miał słusność. Koniec już marzeniom. Jediną rzeczywistością dla mnie jest panna Sydonia.

— Ależ ty jej nie kochasz, moje dziecko!

— Ale mam gorące pragnienie uczynienia ją szczęśliwą. Przypnę, że do niedawna czułem dla Janiny le Brenn tak silne przywiązanie, że stawało się ono już treścią mojego życia, ale to już minęło. Zostanę mężem bankierówny z własnej woli i starać się będę usilnie zasłużyć sobie na jej miłość i uznanie.

— Czy ta przemiana stała się za sprawą Andrzeja?

— Przeważającym czynnikiem jest rozsądek! Widzę, że dotąd byłem niepoczytalnym szaleńcem!

— Strzeż się, Henryku!

— Kogo?

— Siebie samego...

— Nie lękaj się o mnie, mam. Napiszę do barona, do Sydonii, przyspieszę ślub. Chcę tego! bo tak musi być!

Pani de Kermor spojrzała uważnie w rozgorączkowaną twarz syna, po chwili pochylała się nad nim i złożyła gorący pocałunek na jego czole.

— Nie, moje dziecko, tak nie będzie, jak chcesz — szepnęła serdecznie. — Poczekać jeszcze trochę... widzę, że najcięższa choroba twoja mieści się tutaj... — dodała, dotykając ręką piersi Henryka, który nagle wybuchnął gwałtownym łkaniem.

Trójka nędzników.

Po wyjściu z pałacu, Andrzej Delrue skoczył do pierwszej napotkanej dorózki i kazał się wieźć

czemprędzej do mieszkania bankiera. Wiedział, że zostanie dobrze przyjęty, dzięki dobrej nowinie, którą przynosił.

— Teraz de Bressien jest już w moich rękach — myślał z zadowoleniem — bo czuję, że odemnie jest zależne szczęście jego córki, że stałem się kimś, z którym się liczyć musi, jeżeli nie chce na siebie sprowadzić odwetu sprzyjającego mu dotąd losu.

Delrue jednak przecenił trochę swoją wartość: baron, co prawda, spuścił z tonu od dni kilku, bo ciężar banku stawał się coraz dotkliwszym do zniesienia, a wspomnienie ostatniej dokonanej zbrodni męczyło go i niepokoiło, lecz pomimo to wierzył jeszcze głęboko w swoją gwiazdę i bronił się przed przynębieniem.

Odłożenie małżeństwa córki do trzech miesięcy było najważniejszą jego troską obecnie, troską, która w niedalekiej przyszłości mogła grozić ostateczną katastrofą, i tu jedynie mógł liczyć na sprzyjającą pomoc Andrzeja Delrue; ale ten, pomimo, iż czuł się narzędziem w rękach barona, stawał się teraz zuchwalszym i pewniejszym siebie.

Andrzej zastał bankiera w wielkiej hali centralnej swojego biura, rozmawiającego z ożywieniem z interesantami i klientami. Ujrawszy sekretarza, przecisnął się do niego i ujął pod ramię ruchem protekcyjnym.

— Odgaduję z pańskiej twarzy, że mi przynosisz dobrą wiadomość — rzekł wesoło.

— Zwycięstwo na całej linii — szepnął Andrzej z dumą — a to dopiero początek mojej działalności.

— Strzeż się jednak oporu strony przeciwnej... jakiegoś rozpaczliwego buntu.

— Wszystko przewidziałem naprzód. Moralnie „przeszkoda“ już nie istnieje. Potrafiłem ją zniszczyć.

— Pamiętaj, Delrue, że tylko umarli nie są niebezpieczni... Więc kiedy mogę się spodziewać ostatecznego rozwiązania sprawy.

— Za miesiąc najdalej.

— Doskonale! Możesz liczyć na naszą wdzięczność. A teraz biegnij prędko wysłać tę depezę do mojej córki — i pilnuj sprawy.

Na wydartej z notatnika kartce bankier skreślił szybko następujące słowa:

„Zapewne już powróciłeś do zdrowia — wracaj prędko, oczekuję cię!“

Podał kartkę Andrzejowi i zapytał niedbale:

— Ale prawda! A co z pańskim stanowiskiem w pałacu?

— Zachowałem je jeszcze, bo mnie o to proszono.

— Doskonale! W poniedziałek, o ile dotąd nie zajdzie coś ważnego, porozmawiamy obszerniej.

Delrue załatwiwszy polecenie bankiera, udał się do swojego wspólnika pana Collin Megret. Wszedł ostrożnie do kantoru, lękając się być spostrzeżonym przez Janinę le Brenn, o której wiedział, że znajduje się pod opieką małżonki lichwiarza, pani Wiktoryi.

— A więc, mój przyjacielu — zapytał pan Collin Megret, ujrawszy go — kiedyż rozpoczniemy działać ostatecznie. Wszystko już jest przygotowane i oczekujemy tylko twojego rozkazu.

— Zdaje mi się, że nigdy — odpowiedział Andrzej.

— Co? Więc nasz zamiar...

— Niepotrzebny na razie. Mam lepszą kombinację.

— Ależ wszystko przygotowane, powiadam ci.

— To nic nie znaczy, skoro sprawa w inny sposób dobrze się ułoży.

— Bez mojego współdziału?

— Byłeś pan zanadto wymagający, panie Collin Megret. Wszystko dla siebie, nic dla drugich, a zmieniasz zdanie tak często, że...

— Delrue, ostatnie moje słowo i to stanowcze. Dziesięć tysięcy, przyrzekam, że nie postąpię więcej...

— A doktor Magnus pozostaje w układzie?

— Tak, niech pan sam osądzi, ile tracę...

Lichwiarz kłamał, gdyż umowa, jaką zawarł z doktorem, miała być załatwioną przez bankiera de Bressien.

— A więc dobrze — rzekł po chwili namysłu Delrue. — Niech będzie dziesięć tysięcy. Na razie pamiętaj pan tylko, że na wypadek, gdyby kto o „nią“ pytał, masz odpowiedzieć: „wyszła z doktorem Magnusem“ — zrozumiane?

— I to wszystko?

— Tak, nie ciężkie zadanie, jak pan widzi!

Delrue wyszedł z kantoru lichwiarza z równą ostrożnością jak przedtem i skierował się z powrotem na ulicę Beotic.

— Oto konkluzja — uśmiechał się ironicznie. —

Dobre jest to... co kończy się źle. A skończy się tak, jak ja będę sobie tego życzył. Janina przestanie być przeszkodą, a panna Sydonia winna mi będzie okrągłe pół miliona franków. Tylko muszę pamiętać o delikatnej przestrodze bankiera: śmierć jedna tylko jest pewna i bezpieczna. A jednak dla czego by cała historia nie miała się ułożyć spokojnie u pani Wiktoryi? Powinienem przypomnieć sobie teraz cośkolwiek z medycyny, którą studiowałem przecież. Są, o ile wiem trucizny łagodne, nie pozostawiające żadnych kompromitujących śladów. Będzie mi trudno wystarać się o nie, ale doktorowi Magnusowi powinno to przyjść z łatwością.

Ojciec.

Trzy tygodnie upłynęły już od śmierci matki komendanta Rieux i ostatniego zlecenia, jakie mu dała umierająca, błagając, aby odszukał zaginioną córkę i sprowadził ją pod dach rodzinny. Komendant nie przebaczył jeszcze, ale w duszy jego, zahartowanej boleścią, budziły się powoli cieplejsze uczucia dla nieszczęśliwej. Poczynił starania, aby wpaść na jej ślad, podał ogłoszenia do dzienników. Wkońcu, przewyciężając wstęt i niechęć, zwrócił się o pomoc do prefekta policyi. Tenże spisał dokładnie informacje podane przez niego, wysłuchał uważnie i rzekł, żegnając go:

— Mam nadzieję, że za trzy dni będę mógł panu dać pewną odpowiedź. Proszę się zgłosić do mnie w tym czasie.

Komendant wyszedł z gmachu policyi z głową pochyloną na piersi, przynębiony i upokorzony, i poszedł prosto przed siebie, nie zdając sobie sprawy, dokąd dąży. Zaszedł tak aż na ulicę Maubert. Nagle dobiegły go dźwięki muzyki wojskowej. Komendant wyprostował się instynktownie i już z wypogodzoną twarzą śledził przemarsz wojska, któremu towarzyszyła liczna gawiedź uliczna.

Mimowolnie miarowym krokiem zrównał się z żołnierzami i szedł obok nich wyprostowany, jak za czasów, kiedy był jeszcze młodym porucznikiem i prowadził wesoło swój oddział.

Nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia; odwrócił się zawstydzony i ku swojemu przerażeniu ujrzał przed sobą swojego pułkownika, który uśmiechał się do niego przyjaźnie.

— No co, Rieux! Nie oparłeś się starej nawy, prawda! Natura ciągnie wilka do lasu.

— Mój generale!

— Ale nie tłumacz się, przyjacielu, zdarzało się i mnie to niejednokrotnie! Obserwowałem cię od pewnej chwili z chodnika. Jesteś prawdziwym żołnierzem! I wiesz co, Rieux, że na przyszłość już jako pułkownik maszerować będziesz na czele swojego oddziału.

— Generale, nie rozumiem.

— Tak, mój pułkowniku, już od pewnego czasu staraliśmy się dla ciebie o ten zasłużony awans. Dostaliśmy przychylną odpowiedź, która jutro w dzienniku sprawozdawczym zostanie umieszczoną.

— Mój generale — szeptał Rieux silnie wzruszony — nie śmiałem marzyć o tem.

— No i stało się — zaśmiał się generał — Czy nie masz jakiegoż zadania?

Komendant zamyślił się przez chwilę, poczem wyrzekł głębokim, poważnym głosem:

— Mój generale, chciałbym rzeczywiście zasłużyć na ten zaszczyt i wejść z powrotem w czynną służbę. Pragnę powrócić w tym celu do kolonii, do Algieru.

— Ho! ho! mój stary! To już nie dla ciebie! Mamy dosyć młodych poruczników, którzy nie lękają się niebezpieczeństw, na jakie tam mogą być narażeni.

— Generale, błagam cię, nie odmawiaj mojej prośbie, pozwól mi wyjechać. Jestem sam na świecie, nie narażam więc nikogo.

— Straciłeś niedawno matkę, nieprawdaż? Ale o ile sobie przypominam miałeś dzieci, córkę?

— Umarła, generale.

— Oh! Nie wiedziałem o tem. Przepraszam cię, pułkowniku! Ale do dyaska! To jeszcze nie powód, aby tak nie cenić własnego życia! Pamiętaj Rieux! Przyjść może chwila, że nam tu na miejscu potrzeba będzie takich dzielnych, jak ty, żołnierz! Więc wiedz o tem, że się ciebie tak prędko nie pozbędziemy!

W trzy dni później pułkownik Rieux wchodził z bijącym sercem do biura prefekta policyi.

— Witam pana pułkownika — rzekł uprzejmie urzędnik — Siadaj tu na fotelu, a ja tymczasem każę sobie podać potrzebne mi akta.

(Ciąg dalszy nastąpi).